Dumka, 1823 r. 15go augusta.

Czarne chmury pokryły, błękit niebios czysty,
Wiatr szumi w gałęziach sosny:
Tak obłok przygod, czernił nieprzeyrzysty,
Upłynione dni mey wiosny.

Deszcz leie, spada grom i błyskawica,
Kwiat zapomniany zgina się w dolinie,
Łzy nieraz gorzkie skrapiaią me lica,
Kwiat szczęścia mego zaginie.

Jodła się w samotności wznosi na gór szczycie,
Wichry nią srogie miotają,
Niestety! może tak upłynie życie
Ni go promienie słońca oświecają.

Nadeydą burze, z niemi sroga zima,
Drzewo wywrócą z korzenia;
Umrę, czas leci, co go nic nie wstrzyma;
Zapomną mego imienia. *T. S.*

Spiew śmierci mey merielies, z Waltera Skota.

Pocóż dłużey zamieszkać zniszczałego ciała;
Chcesz duchu; śmiertelne zwłoki?
Pocóż walczyć? godzina ostatnia zabrzmiała,
Wieczność wzywa bez odwłoki.

Już wyzwolony z srogiego więzienia,
Rzuć liche ciało, skończ iego cierpienia,
W niebie ci tylko nadzieja zostaje,
Czas minął, wieczność nastaje.

Lękasz się zimna powiewu srogiego,
Dla tego, coś mu wiernie towarzyszył, ciała?
Gdy zawsze oczy do snu ostatniego,
Niemasz ocknienia, wieczna noc sciemniała.

Już zorza błyska, daleka ci droga,
Wróć, zkąd przybyłeś, leć, zkąd cię wysłano ,
Smierć ostatniego czeka tchnienia sroga.
Aby łup ziemi oddano.

T. S.

5go APRYLA 1827 ROKU.

Cichość panuje w około,
Lekki wiatr w liściech szeleści,
Skowronek nóci wesoło,
A pasterz z lubą się pieści.
Odżyła cała natura,
Wraz z miłey wiosny zjawieniem,
A zimy srogość ponura
Rozstała się z przyrodzeniem.

Słonce się w zbija wysoko,
Pędząna pastwiska trzody ,
A Maryli modre oko
Szuka, gdzie jest Antek młody.
Wszystko już szczęściem oddycha,
Kwiat polny pączek rozwija,
Ach! zacóż serce me wzdycha,
Czemuż mię smutek nie mija?

Zacóż, gdy natura cała,
Zrzuciwszy smętną zasłonę,
Znów miłą postać przybrała,
Serce moie tak ściśnione?

Zacóż, gdy mnie wszystko wzywa,
Abym się wespół cieszyła,
Żałość się w duszy odzywa,
A łza źrzenicę zwilżyła?

Niestety! kwiat się odradza,
Ptak do gniazda swego wraca,
Miłości potężna władza
Trudy osładza i skraca;
Rolnik w krótce ręką czynną
Płody ziemi w żniwie zbierze,
Po tych zawsze łzy nam płyną,
Co śmierci padli w ofierze!

Ach! dla nich słońce nie wschodzi,
Skowrónek ze snu nie zbudzi,
Miłość im życia nie słodzi,
Ręka się pracą nie strudzi!
Na wieki zimna mogiła,
Przed niemi blask słońca kryie,
Nie widzą, iak postać miła,
Łzami, kamień zimny myie.

Dla nich równo czas upływa,
Wiatr srogi, czy zefir wieje,
Czy chmura niebo pokrywa,
Czyli ciepły deszczyk leje.
Nieczuli na jęk rodziny,
Głos się z mogiły nie wzniesie,
Wieczne są dla nich godziny,
Nic tam odmiany nie niesie.

Czyliż zniknęli na wieki
Ci, których nas smuci strata?

Czyż nie otworzą powieki,
Gdy długie upłyną lata?
Nadeydzie chwila szczęśliwą,
Grobowce otworzą łona,
A co ich teraz zakrywą,
Spadnie posępna opona.

Wieczność, otworzy swe wrota,
Tam szczęście czeka niezmienne,
Tam wezmie nagrodę cnota,
I znikną przesądy ciemne.
Tam nigdy łzy już nie płyną,
Posępność czoła niechmurzy,
Tam nie mą piorunow, burzy.

Wieczne tam słońce jaśnieje,
Oyciec tam dobry panuje,
Słodki zawsze wietrzyk wieje,
A serce żalu nieczuje.
Wkrótce i my tam będziemy ,
Niech ta myśl boleść osładza ,
Na wieki się już złączemy
Bo tam śmierci niknie władza. *T. S.*

ZAMYŚLONA.

„ Gdzież dusza twoja ? . . .
——— w krainie pamiątek ! ”
MICKIEWICZ.

1.

Twarz twoja zadumaną, w oku twojem łezka,
Jak perła rosy na fijałka łonie,
Na alabastrową rączkę nachyliłaś skronie,
I o czemś sobie dumasz istoto niebieska!

2.

Ach! jakżeś piękna! w twém oku natchnioném
Całe się niebo maluje dorazu,
Zda się, żeś pełna niebianek obrazu
Wzlecisz po promyku z oka wystrzeloném.

3.

Stóy! . . . stóy jeszcze chwilę, niech patrzę na ciebie
Dla ziemi jeszcze poświęć jedno półgodziny,
Napóy niebieską wonią rodzinne krainy
Nim należąca niebu nie zaginiesz w niebie!

SONET do E. . . .

Wszyscy mówią, żeś piękna, żeś obraz anioła,
Każdy rad cię ogląda, wielbi cnoty twoje,
Czemuż podobny skale niewzruszony stoję,
O podal natrętnego wielbicieli koła?

Czyżem czucie utracił, czy serce nie zdoła
Przyjąć mieszkańca nieba w pamięci podwoje,
Czy swey mowie nie ufam, czy się słów twych boję,
Wzrok, co wszystkich zadziwia, czyż mnie nie powołą?

O luba! naywdzięcznieysza, naygorętsza mowa,
Palącemi cię usty, gorejącym wzrokiem
Czyż potrafito oddać, co serce zachowa?

Piersi wzburzone, miotane uczuć potokiem,
Są czystą mową serca, a serca wymowa,
Niewysłowiona dotąd, ni usty, ni okiem! . . .

ELEGIA PIERWSZA.

Otoż jestem już znowu na rodzinney ziemi!
Ileż tu wspomnień! ach pamiątek ile,
Teraz sobie odpocznę, at tu między temi,
Lipami sędziwemi— i młodości chwile,
Przypomnę: które cicho tutay przepędziłem.
Marzyć będę, com marzył, śnić będę, co śniłem;
Znów z czystego źwierciadła wiosny przyrodzenia,
Uczyć się będę sztuki niewinney myślenia,
Ożenię się z radością, pobratam z sumieniem,
I przyjaciół zaproszę; tu koło mnie stanie;
Topól z wyniosłem czołem, tu w szatę jutrzeńki,
Ubierze się przy źródle fijołek maleńki,
A tam łąka, majowe rozściele posłanie,
A tu chwilkę przysiądę sobie nad strumieniem.
Potém zwiedzę ogródek, i źródło, i lasek,
I te błonia, po których biegałem z wiatrami,
Po których nie raz złoty rozsiewałem piasek,
I altanę, gdzie sobie nie raz się usnęło
I grotę, mey młodości wielkie arcy-dzieło,
I was drzewa, was kwiaty, com się bawił z wami!
Odbiegłem was na wiosnę, a witam w jesieni.
Lecz czemuż przedstawiacie mi obraz boleści!
Jak smutno! już się żaden z listków nie zieleni.
Jak cicho tu! już żaden z listków nie szeleści!
Lecz wy znowu wrócicie w odmłodniałey szacie,
By nadzieją oświecić te smętne ustronia;
Wy znowu powrócicie, w wiosny majestacie,
I szepniecie strumieniom: obudźcie te błonia:
I szepniecie gaikom: śmieycie się nadzieją,
I wnet zielone drzewa słodko się rozśmieją.

Ale nie dla mnie, ja wiosny nie miałem;
Bo nayszczęśliwsze, bo wiosenne chwile
Już dawno gorzko, dawno przepłakałem;
Ale nie dla mnie, ja szczęścia nie znałem;
Bo nayszczęśliwsze, bo młodzieńcze lata,
Dawno zalały namiętności fale;
A gdzież łzy moje? a gdzież moje żale?
I ray miłości mrugający mile
I złotych marzeń kraina bogata
Powiedzcie, gdzie się wszystko to podziało?
We śnie pamięci tylko pozostało.

Dominik Zabiełło.

POWIEŚCI.

Zawadyaka. *Powieść francuzka.*

Wielekroć słyszałem śpiewane kawatino z *Cyrulika Sewilskiego.*

Nigdy ta arya nie wydała mi się tak przyjemną, jak w dniu, kiedy ją słyszałem, śpiewaną przez aktorkę włoską, pannę Kamillę.

Naprzód, jest niedozwalanie miłości Hiszpanki. Potém, nieznacznie, naturalna podstępna Rozyna, bierze nad niém górę: bo myśli tak poważne, nawet gdy i namiętność je rodzi, nie mogą długo zaymować głowy szesnastoletniey. Idą więc wymyślone dziwactwa, piosnki krotofilne i lekkie. Ona śmieje się ze swego opiekuna, ona cieszy się z jego odeyścia.

Przy mnie był młody Włoch, który oka nie spuścił ze śpiewaczki.

Żaden oddech nie wychodził z ust jego, na

wpół otwartych; łzy błyszczały w jego oczach, które cóświęcey wyrażały, niż zachwycenie.

I gdy skończyła kawatino, gdy uniesienia wznosiły się ze wszystkich stron, Kamilla rzuciła ukradkiem na niego spóyrzenie.....

Po prawey ręce młodego człowieka, znaydował się nieznajomy, którego od początku opery, więcey, niż raz zaobserwowałem sobie. Była w tym człowieku jakaś nieprzyjemna mieszanina przyganiania i złey obyczaności. Rozwalony, na swojém krześle, trącał łokciami sąsiadów, mieszał co moment widowisko, przez uwagi, w głos prawie czynione. Kilka razy sykali na niego nieukontentowani, ale on bynaymniey nie miał się na baczności

Oddany całkiem swemu wzruszeniu, czciciel Kamilli, bynaymniey nie uważał takiey niegrzeczności; ale gdy scena została zajętą przez Bartola i Bazyla, odepchnął zwolna łokieć swego sąsiada, którego przykre obeyście się pierwszy raz poczuł.

Nie wiem, jakie słowa wyrzekł tamten; ale uyrzałem iskrzące się oczy Włocha i policzki blade poczerwieniałe.

Zachował jednak spokoyność.

Ośmielony takiém umiarkowaniem, jego przeciwnik, pogroził mu.

„Wychodźmy, wychodźmy!" zawołali oba w jednymże czasie.

Kiedy się oddalali, krzyk wyszedł z teatru. Widziałem wówczas młodzieńca drżącego, potém chwiejącego się ze łzami w oczach; ale jego przeciwnik odwrócił głowę, dla zobaczenia, czyli idzie za nim, i poszedł.

Nie mogę odmalować wzruszenia, jakiego doznawał czciciel Kamilli. Było to w chwili, kiedym poszedł za nim, chcąc wiedzieć koniec tey sceny.

Dwóch ludzi, dosyć nieprzyjemney postaci, towarzyszyło nieznajomemu grubijaninowi. Włoch był sam, i rzucał kiedy niekiedy niespokoyne na około siebie spóyrzenia.

Jesteś cudzoziemcem; nié masz świadków; będę ci służył, rzekłem, przybliżając się. Podał mi rękę, i ścisnął moją. Poznałem po tém ściśnieniu, ile był zasmucony.

Wziąwszy broń, przechodziliśmy przez wiele ulic samotnych, i wyszliśmy za miasto.

Xiężyc jaśnie oświecał, jak nigdy nie widziałem. Niebo było pogodne.

Przybywszy na plac, stosowny do potyczki, nieznajomy spokoynie zdjął z siebie suknią, obeyrzał starannie zaostrzoną szpadę, a potém śmiejąc się, począł się mieć na baczności, jak mistrz fechtow; nie mogę wypowiedzieć, jakim ten śmiech przejął mię przestrachem.

Od pierwszego pchnięcia, Włoch upadł, pierś nawskróś została przeszytą.

Chciał mówić, ale krew mu przeszkodziła; chciał dać znak, ale konwulsye śmierci nie dozwoliły mu tego.

Kamilla! Kamilla! rzekłem do niego; gdyż zrozumiałem jego myśl ostatnią.

Uczułem ściśnienie mojey ręki, i potém skonał. Podówczas, ten, który go zabił, ocierał broń skrwawioną, i rozmawiał ze swymi towarzyszami. Pomóżcie mi, rzekłem do nich w mojém pomieszaniu, pomóżcie choć cokolwiek, aby

przenieść tego nieszczęśliwego, gdzie znaydzie pomoc.

Zawadyaka spóyrzał na niego okiem, jakiém stary lekarz pogląda na chorego: wziął za puls trupa, a potém rzekł: „Idźmy! idźmy! nie ma żadnego ratunku, już on umarł!"

I zostawili mię samego przy ich ofiarze.

Byłem zupełnie przejęty strachem i niespokoynością. Nie znałem nawet nazwiska, leżącego u nóg moich, nie wiedziałem też, w czyje ręce złożyć to ciało skrwawione.

Kiedy poglądałem bez celu w około siebie, postrzegłem błyszczącą od światła xiężyca srébrną klamrę pugilaresu, który należał do Włocha. Wypadł on z jego sukni, w czasie gotowania się do potyczki. Otworzyłem go.

Był w nim portret Kamilli, i list adressowany do Signora Paolo Frienzi. Przeczytałem go, był to list, pierwszy, który od niey odebrał i który drżącą ręką, datowany był tegoż samego dnia.

Poymujecie, jakie były moje uczucia, gdym go przeczytał.

Przejeżdżali wieśniacy, udając się z wozami na rynek. Na nich wyjednałem, że przenieśli do miasta ostatki Włocha; i gdy przybyliśmy, oznaymiłem sądowi o smutném wydarzeniu, zaszłém w nocy, i udałem się do mieszkania Kamilli.

Blada, i w okropném oddaniu się rozpaczy, zrozumiała od pierwszego mojego słowa, o czém ją przyszedłem uwiadomić. Słuchała mię nie przerywając; i nie odezwała się, aż kiedym już skończył.

Napróżno upatrywałem, w jey niewzruszoney twarzy, cokolwiek podobnego do Rozyny dniem przedtém. Już więcey nią nie była; była to zemsta.

„Jego nazwisko! jego nazwisko! odezwała się nakoniec.

— Nie wiem go, odpowiedziałem.

— Jego nazwisko! powtórzyła przyskoczywszy do mnie, jego nazwisko! powiedz mi je. Ja chcę je wiedzieć, powiedz mi.

— Niebo moim świadkiem, że nie wiem!

— Daruy! ah daruy! WPan, któryś widział go umierającego, który jego odebrałeś ostatnie tchnienie — WPan tak wspaniały dla niego! Nic to nie znaczy, rzekła pocichu, będę je wiedziała."

We cztéry lata, po tém wydarzeniu, podróżowałem po Włoszech. Wieczorem, poszedłem na teatr, grano *Cyrulika Sewilskiego.*

Rozyna wystąpiła, a *Rozyną* była Panna Kamilla.

Poniewolném jakiémś czuciem, szukałem obok siebie Paola-Frienzi.

Zabóyca siedział na teyże samey ławce, co i ja.

Kamilla, równie, jak ja, nagle go postrzegła; gdy nagły ich krzyk, przerwał kawatino, które śpiewała. Zle się jey zrobiło.

Dowiedziawszy się o mieszkaniu Panny Kamilli, poszedłem nazajutrz, dla dowiedzenia się o jey zdrowiu, ale już ona nie żyła. Postępowałem za jey trumną, z sercem ściśnioném od smutku; xiężyc oświecał ten pogrzebowy kondukt; wszystko wkoło mię było smutne, po-

nure, milczące, gdy głos śmiechu dał się słyszeć koło mnie. Zadrżałem przerażony, podniosłszy oczy. Był to jeszcze ów! Zawadyaka!

A. A.

Żyd gamacki. *Powieść wschodnia.*

W *Gamadze*, mieście Syryi, żył niegdyś Turek, imieniem *Mustafa*, który, nie wielką sobie fortunkę zrobiwszy przez handel kozią wełną, postanowił odbyć pielgrzymkę do *Mekki*. Jego familiyka składała się z żony i dwóch niewolników; a ponieważ żona oświadczyła mu, że nie chce sama jedna pozostać w domu, dobry więc mąż przedał ostatnią resztę wełny koziey, wziął z sobą wszystkich domowników swoich, i, udając się z niémi w wędrówkę, zamknął swoje mieszkanie. Jedyną atoli w tym razie, trudnością było, schowanie pieniędzy zebranych. Nie chciało się jemu narazić siebie na niebezpieczeństwo, zostania zrabowanym w podróży przez pustynię; ale też zostawić pieniądze w opuszczonym domie, było rzeczą niepewną, a przyjaciół, którymby mógł powierzyć tajemnicę swego bogactwa, nie miał bynaymniey. Po długiém rozmyślaniu, przyszła mu, nakoniec, myśl włożyć je do różnych pakietów i schować na dnie pięciu wielkich naczyń glinianych, które potém napełnił olejem, i, przy odjeździe, posłał do jednego ze swoich sąsiadów, do Zyda, nazwiskiem *Musa*, z prośbą, aby je zachował do jego powrótu, powiadając mu, że w tych naczyniach znayduje się oley, który sobie przy-

sparza na zimę. Ale żyd wkrótce z ciężkości naczyń, i z innych okoliczności, wniósł ostatecznie, iż one są zapewne inną jaką, kosztowniejszą rzeczą napełnione, i zaledwo *Mustafa* puścił się w drogę do *Damaszku*, gdzie zamierzył przyłączyć się do karawany pielgrzymów, gdy *Musa* wypróżnił garnki, a znalazłszy w nich, jak się właśnie spodziewał, złoto, powyymował je, a garnki znowu napełnił olejem, tak, iż nikt nie mógł dostrzedz jego oszustostwa. Biédny Turek za powrótem swoim wkrótce odkrył żarcik, uczyniony mu przez jego sąsiada; ale, że naczynia były na pozór w tymże stanie, w jakim je zostawił, a przytém nie mógł żadnym sposobem dowieśdź, co się w nich zawierało, niepodobna mu przeto było skarżyć Żyda przed sądem. Tak więc zaczął obmyślać inne śrzodki ukarania żyda, i odzyskać swoję majętność, a tymczasem nikomu nic nie mówił o swojey stracie, tylko swey żonie, którey także przykazał zachować o tém ścisłą tajemnicę. Po wielu dumaniach, przyszła mu na myśl jedna, z którey sobie rokował pomyślny skutek. Jednego razu zwiedziwszy sąsiednie miasto *Goms*, dokąd często chodził przedawać swoję wełnę kozią, napotkał obóz Cyganów, którzy z sobą wieźli małpeczkę. Namówił ich przedać sobie to źwierzę, przyprowadził je pokryjomu do domu swojego w *Gamadze*, i zamknął w izbie, do którey nikt nie wchodził, oprócz niego samego. Potém, wyszedł na rynek i kupił sobie ciemnego koloru kaftan, czapeczkę i pas, jakie przepisano żydom nosić po całém państwie tureckiém. Tę odzież brał na siebie każdego razu, gdy od-

wiedział swoję małpeczkę, dla którey codzień przynosił pokarm, nikogo innego blizko nie przypuszczając do tego źwierzątka; które przeto w kilka tygodni, tak się do niego przywiązało, iż skakało mu na plecy, przymilało się i obeymowało go każdego razu, gdy wchodził do izby. Około tego czasu, spotkał raz na ulicy chłopczyka, syna żyda *Musy*, namówił go póyśdź z sobą do domu, przyrzekłszy mu dać winogron, a potém zamknął go w altance ogrodowey, odległey od ulicy i od wszystkich innych domów mieyskich, tak, iż nikt nie mógł odkryć mieysca, gdzie był zamknięty chłopczyk. Tymczasem, żyd kilka dni troskliwie szukał syna, i, nie mogąc żadney o nim otrzymać wiadomości, rozumiał już, że utonął, albo, przechodząc się za miastem, wpadł w ręce koczujących Beduinów; że zaś był u niego jedynakiem, poddał się przeto wielkiemu smutkowi i rozpaczy, gdy nareszcie, dnia jednego, dowiedział się, że syna jego w tym właśnie czasie, kiedy przepadł był, widziano w domu *Hadzi Mustafy*. Jakoż się wnet domyślił, że był to wybieg, za pośrednictwem którego chciał Turek zemścić się na nim, za skradzenie pieniędzy; natychmiast więc zapozwał go do Kadego, i oskarżył, że utrzymuje u siebie jego syna, którego też domaga się niezwłócznie oddania. Z początku *Mustafa* zupełnie się wszystkiego zapierał; ale gdy jeden ze świadków dowiódł, iż widział chłopca, jak wszedł z nim do jego domu, i Kady już miał wydać wyrok, ażeby Turek do sądu go dostawił w życiu, lub zmarłego, wtedy ten zawołał: „Ja iłła eł Ałła! (Kto, oprócz Boga). Jego moc i władza nieo-

graniczona, w jego woli jest tworzyć cuda, wprawiające człowieka w zadumienie. Prawda, Effendi! (mówił daley, obróciwszy się do sędziego), że ja, postrzegłszy syna żyda *Musy*, przechodzącego mimo mojego domu, zaprosiłem go do siebie, po starey przyjaźni z oycem jego, i poczestowałem winogronami, które tylkom-co był przyniósł z mojego ogrodu; ale chłopczyk źle się mi wypłacił za moję uprzeymość. Zaczął mi grubijaństwa prawić, i tak się nawet zapomniał, że bluźnił przeciw naszemu Swiętemu Prorokowi. Lecz zaledwo wymówił te obelżywe słowa, gdy, z naywiększém mojém podziwieniem, został przemieniony w małpę; w takiey postaci ja go tu przyprowadzę, a na dowód, iż mówię prawdę, zobaczycie, iż zaraz pozna swojego oyca." To powiedziawszy, kazał służącemu, który stał za drzwiami, wpuścić do izby małpę; ta zobaczywszy, że zpomiędzy wszystkich obecnych, tylko sam żyd miał na sobie odzież, do którey przywykła, wzięła go za swojego pana, rzuciła się mu na szyję, i przymilała się jemu, jak dziecię, dawno już niewidzące swojego oyca. Właśnie tego nie dostawało, iżby całe zgromadzenie przekonało się o prawdzie *Mustafy*. „Dziwny cud!" zawołali wszyscy; „Bóg wielki i Mahomet, jego Prorok." Żydowi kazano wziąć z sobą małpę i oddalić się z sądu. Po tey scenie, nic mu nie zostawało, jak tylko weyść w polubowną ugodę z Turkiem: za nastaniem więc zmroku, poszedł do niego, i oświadczył, iż powróci mu wszystkie pieniądze, które wyjął z garnków z olejem. Turek, dokazawszy swego, zgodził się wydać swojego jeńca, z tym

atoli warunkiem, iżby dziecię było pokryjomo wzięte z jego domu, i żeby oyciec zaraz miasto opuścił, z całą swoją familiją. Tym sposobem, wiara przez ten dziwny wypadek została nienaruszoną, a żydzi jeden za drugim wydalali się z miasta, i odtąd nigdy już nie przemieszkiwali w *Gamadze*. *Tł. M. R.*

Przechadzka pod lipami,
wyjątek z dzieł Szyllera.

Wolmar i Adolf, dway przyjaciele od serca, oddaliwszy się na czas niejaki od wrzawy czynnego świata, żyli na wsi w spokoyném ustroniu, właśnie jak gdyby dla tego żeby w chwilowym odpoczynku zastanowić się filozoficznie nad igrzyskiem losu, który ich życie rozmaitemi i dziwnemi wypadkami napełnił. Szczęśliwy Adolf poymował świat z całym zapałem młodzieńczego serca; smutny Wolmar okrywał go żałobnym kirem doświadczonych przez się nieszczęść. Tuż przy mieszkaniu szpaler lipowy, był ulubionem mieyscem ich zwyczayney przechadzki, i rozmyślań; tu też kiedyś pod czas pięknego majowego poranka przechadzali się oba, a ja taką między niemi słyszałem rozmowę.

A d o l f.

Dzień piękny — całe przyrodzenie przywdziało barwę wesela, a ty Wolmarze! tak jesteś smutny?

W o l m a r.

Day mi pokóy, wszak wiesz i bez tego, że zwykłem zawsze, psuć twóy dobry humor.

Adolf.

Ale czy też podobna, kielich rozkoszy dobrowolnie od ust usuwać?

Wolmar.

I dla czego nie, jeżeli w nim się znayduje jadowity pająk? Tobie teraz maluje się całe przyrodzenie, jak hoża, szesnastoletnia dziewica w dniu jey zaślubin. Mnie zaś wydaje się raczey jak podżyła matrona, z wymalowanym rumieńcem odbijającym się od wyżółkłych policzkow; też same ma kleynoty na głowie, jakie jey praprababka jeszcze nosiła. Jakże dziwacznie wdzięczy się teraz w swoim świątecznym ubiorze. Są to jednak wynoszone stroje; ileż tysięcy razy porzucała je żeby przywdziać na nowo. Tęż samę nosiła barwę przed Deukalionem, temiż tchnęła woniami, wtenczas już też same kwiaty pstrokaciły tło jey odzieży; przez tysiące lat pożera szczątki tego, co się ze stołu śmierci pozostało, z martwych członków własnych swoich dzieci przyprawia dla siebie nowe malowidło, z którém się wdzięczyć będzie, i tak przestrzeń spustoszenia w mamiącém wystawia swietle. Młody człowieku, czy wiesz w jakiém teraz chodzisz towarzystwie? czy pomyśliłeś o tém, że te niezmierzone okiem półkole ziemi, jest jedynie mogiłą twoich przodków; że ten wiatr, co ci kwiatów i drzew rozkwitłych przynosi wonią, bydź może napawa powonienie twoje duchem co niegdyś Arminiusa ożywiał; że w tym orzeźwiającym zdroju kosztujesz wody co przez kości naszego wielkiego Henryka przesiękła. Ten sam atom co w głowie Platona wzbudzał wysoką myśl o Bogu, co serce Tytusa po-

litowaniem napełniał, teraz bydź może podżega zwierzęce chucie w piersiach nowego Sardanapala, albo z resztą cielska podłego wisielca, krukom służy za pastwę. I tobie Adolfie, to wszystko pociesznćm się wydaje?

A d o l f.

Przebacz. Twoje uwagi tworzą w imaginacyi mojey wcale zabawne widowisko. Jakto? czyż cząstki naszego ciała niemiałyby ulegać tym samym prawom, jakie i dla duszy naszey są wskazane? Czyliż po śmierci całey machiny, niemiałyby pełnić tychże samych obowiązków, jak i pierwey kiedy dusza niemi rządziła:

Quae cura fuit vivis eadem sequitur tellure repostos.

W o l m a r.

Taką rzeczą popioły Likurga dotąd i na wieki na dnie oceanu pozostaćby musiały.

A d o l f.

Czy słyszysz ówdzie głos tkliwego słowika. Cóż? niemógłże on powstać z popiołów Tybulla, którego pienia pełne są równey tkliwości. Bydźże nie może, że to wzniosły Pindar szybuje w owym orle co go zaledwo okiem dosięgniesz w niebieskim błękicie, albo, że atom Anakreona nie ulatuje razem z miłym dla nas powiewem zefiru? Któżby zaprzeczył czy cząstki ciała czułego kochanka, nie osiadły w pyle na rozkosznych lokach pani jego serca? że prochy lichwiarza nie uwięzły razem z odwieczną rdzą, sztukę monety pokrywającą? Albo też, że spróchniałe kości polygrafów nie były wskazane przylgnąć do papieru razem z massą litery pokry-

wającą, lub też wiecznie jęczeć pod prassami drukarskiemi, a głupstwa spółkolegów daleykiey podawać potomności? Widzisz więc Wolmarze! w tym samym kielichu gdzie ci tylko gorzka żółć się wyradza, tam móy dobry humor wydawa pocieszne żarciki.

Wolmar.

Adolfie! przyznaję, że twóy dowcip umie nadadź inny koloryt samey nawet surowey prawdzie, ale pozwól mi daley mówić. Dobra sprawa nic nie traci ilekolwiek bądź zastanawiają się nad nią.

Adolf.

Ale i ty Wolmarze wtenczas się nad nią zastanawiay kiedy będziesz szczęśliwym.

Wolmar.

Dla Boga! dotykasz nayniebezpiecznieyszey rany. Jednak u ciebie mądrość mogłaby się porównać do pochlebney rzemieślniczki, co stosownie do humoru pana, raz szczęśliwy wypadek czarnym pociąga pokostem, to znowu samemu nieszczęściu połysk i śnieżną białość nadaje. Tak więc zepsuty żołądek, zamieniłby naszego planetę na piekło, a szklanka wina samych czartów mogłaby ubóstwić. Lecz jeżeli humor ma tak zmieniać naszą filozofią, powiedz mi Adolfie, kiedy ta prawda będzie jey osnową? Lękam się, ale zapowiadam tobie, że wtenczas mędrcem zostaniesz kiedy wprzód nieszczęście czoło ci zachmurzy.

Adolf.

Jeżeli tak ma bydź — bogdaybym nigdy mędrcem nie był

Wolmar.

Nieprzeczę, szczęśliwą prawdę powiedziałeś; lecz uważ sam Adolfie, praca jest warunkiem życia ludzkiego, celem jego jest mądrość, ale nagrodą wszystkiego czyż można nazwać szczęście? Tysiące i jeszcze tysiące żaglów odbija od lądu ażeby po nieznajomym oceanie szukać wyspy szczęścia, i ze zdobytym złotym runem nazad do oyczyzny powrócić. Powiedz mi jednak mędrcze, jaka jest liczba tych, którzy pożądany osiągną skutek. Widzę nieprzeliczoną flotę jak wiernie z powodu wielolicznych potrzeb, to się od brzegu oddala, to znowu nazad powraca i znowu odbija, żeby jeszcze wylądować. Sciera się nawałem w przedsieni swojego przeznaczenia, z bojaźnią krąży wzdłuż brzegów, robi zapas żywności, naprawuje liny, a przecież nigdy na pełne morze nie wychodzi. Są to tacy co się dziś nad tém mordują, co jutro znowu ma ich siły osłabić. Odciągam ich od summy całkowitey do wyspy szczęścia dążących, i tak ich liczbę, widzę przynaymniey do połowy zmnieyszoną. Tu znowu postrzegam, że innemi kieruje zmysłowość, a ta przedwcześnie do grobu ich spycha. Są to tacy co na to tylko sił swoich używają, ażeby spożyć owoce pracy, w krwawym pocie przez drugich utworzone. Również więc i tych wyłączam z całości, i przeto licha tylko część czwarta już mi pozostaje. Nareszcie z bojaźnią i drżeniem, bez igły magnesowey, jedynie pod przewodnictwém błędnych gwiazd puszcza się pozostały smutny orszak na straszne wody oceanu, płynie; już widać białe chmurki nad horyzontem szczęśliwych brzegów. Ziemia

ziemia! z zapałem woła sternik, a w tem pęka nędzna deska zbliżającego się do celu okrętu, i cała jego budowa na dno wód się pogrąża: „*Apparent rari nantes in gurgite vasto.* Jednak nayzręcznieyszy pływacz, z dogorywającemi siłami walcząc przeciwko wodom dobił się nareszcie do lądu, ale nieznany nikomu, obcy w pośród mieszkańców gorącey stfery, zwraca łzami zalane oczy do swojey półnoçney oyczyzny. Tak z ogromney massy szczęśliwemi podług ciebie nazywanych, niknie milion po milionie. Dzieci wzdychają do ozdób piersi dorosłych ludzi pokrywających, dorośli płaczą że znowu dziećmi bydź nie mogą. Potok naszych umiejętności cofa się wstecz do swojego zrzódła, i poranek i wieczor równie mgła pokrywa, jedney nocy zorza wieczorna i zorza poranna koniecznie spotkać się muszą, a mędrzec co się chciał przedrzeć przez mury oczóm jego jako śmiertelnika niedostępne, z czasem zamienia się znowu w słabe dziecko. No Adolfie, cóż zarzucisz temu — odpowiedz.

Adolf.

Ja mówię — że chociaż wyspy nie dosięgli przecież podróż sama zrodziła im wiele przyjemności.

Wolmar.

Chcesz mówić, że przed oczyma wędrowników w prawo i w lewo snuły się czarujące widoki okolic. Adolfie! I czyż dla tego bydź wystawionym na szturm wyuzdanych wiatrów, dla tegoż drżeć na widok najeżonych opok, i po tey wodney pustyni trzykrotnie co chwila ze

śmiercią walczyć? Nie mów już ani słowa, mój smutek jest wymównieyszym niż twoja radość!

Adolf.

Ale czyż mam dla tego zdeptać fijałek pod mojemi nogami, że róży dostać nie mogę. Albo czy mam się wyrzec dzisieyszego majowego ranka, że wkrótce burza zaćmić go może — czerpam teraz wesołość pod tém niezachmurzoném błękitem niebios, i ona mię jeszcze pocieszać będzie, kiedy czas burzy nastanie. Czyliż dziś nie mam zrywać kwiatka, że on do jutra straci swoją wonię? Jutro go rzucę bo zwiędniał, ale zerwę znowu jego braciszka, co się dziś w początku rozwijać poczyna.

Wolmar.

Napróżno — Napróżno! gdzie się tylko wylęgnie rostek przyjemności, tam wnet go otoczą buyne zielska goryczy. Gdzie spadła jedna łza rozkoszy, tam ziemia przesiękła łzami przez rozpacz wylanemi. Tu gdzie człowiek z radością wykrzyknął, pod jego stopami jękło mnóstwo umierających owadów. W téy samey chwili gdy nasze uniesienie do nieba się wzbija, wyją tysiące przeklęstw potępienia. Jest to zwodnicza loterya, z którey kilku zaledwo korzysta, gdy tymczasem niepoliczeni narzekają, iż się ją oszukać dali. Każda kropla czasu jest minutą śmierci, każdy pyłek z wiatrem unoszący się jest kamieniem grobowym znikłey przyjemności. W każdym punkcie nieskończonego świata śmierć wycisnęła pieczęć swojego jedynowładztwa. Na każdym proszku całego przyrodzenia czytam straszny napis — *Znikomość*.

Adolf.

Wszelakoż możnaby powiedzieć, że każdy odgłos jest równie pieśnią pogrzebową znikłego szczęścia, jak hymnem miłości, rozlaney po całey przestrzeni. Wolmarze, pod temi lipami pierwszy raz pocałowałem moją Maryą.

Wolmar (nagle odbiegając).

Młodziećcze, pod temi lipami moja Laura skonała.

E. Tański.

Do młodzieży.

Czas w rączym biegu upływa:
Wszystko wraz z sobą porywa.
I lubey młodości chwile,
Jego się nie oprą sile.

Jak róża gdy się rozwinie,
Wkrótce więdnieje i ginie;
Tak z wdzięków do niey podobna,
Przemija młodość nadobna.

Korzystay więc, luba młodzi,
Z czasu co rychło uchodzi,
Dni wieku twojego złote,
Zbogać w naukę i cnotę.

Co zdołasz zasiać szczęśliwie,
Na serca, rozumu, niwie,
Póki się wiosna nie zmieni,
To w poźney zbierzesz jesieni.

Gdy styrasz młodość twą marnie,
Żal cię niewczesny ogarnie.

Przykry smutek przyydzie z laty,
Lecz już nienagrodzisz straty.

Korzystay więc, luba młodzi,
Z czasu co rychło uchodzi,
Dni wieku twojego złote,
Zbogać w naukę i cnotę.

X. A. Moszyński Pijar.

Do skowronka.

Skowronku móy ulubiony!
Gdy ci się pilniey wpatruję,
Widzę się bydź zawstydzony,
I w duszy niepokóy czuję.

Ty od poranney godziny,
Skoro noc znika z swym cieniem,
W powietrzne wzniesion krainy,
Hołd Stwórcy składasz twém pieniem.

Tyś niewinny w każdey dobie.
Twych powinności nie zdradzasz.
Natura prawem jest tobie;
Z tém prawem życie twe zgadzasz.

A ja com z niebios szczodroty,
Tak wielą zbogacon dary,
Co znam dawcę mey istoty;
Światłem rozumu i wiary.

Pośród namiętności wrzawy,
Którym oporu nie stawiam,

I łamię jego ustawy,
I winney czci Mu odmawiam.

Jak wielbić pana nad pany,
Jakim być jego czcicielem,
Bądź moim, ptaszku kochany,
Bądź moim nauczycielem.

Tenże.

Epigrammata (*tegoż*).

1.

Marek prawnik próżen zdrady,
Ale jest drogi zakaty.
Syp mu garściami dukaty,
Pewnie dobrey nie da rady.

2.

Bolesław śmieje się z bóstwa,
Gardzi przyszłości nadzieją.
Lecz i z jego marzeń mnóstwa,
I z niego wszyscy się śmieją.

3.

Pytał się Pawła Nicety:
Czémby zastąpić można zalety,
Na których zbywa sercu lub głowie?
Pieniędzmi, Paweł odpowie.

4.

Chceszli bydź wspominanym kiedy legniesz w grobie?
Sposób naylepszy, długi zostawić po sobie.

5.

Los zmienny: tyś bogaty, ja jestem ubogi:
Stąd mi właśnie nadziei, tobie powód trwogi.

6.

(*z francuzkiego*).

Jędrzey, co dobrze świata używał,
Dla którego dniem szczęścia był każdy dzień tłusty ;
Żeby wielkiego postu nie odbywał,
Umarł na same zapusty.

7.

(*z francuz.*).

Klot, któremu potrawy boki rozpierały,
Wstał od stołu, w tém wchodzi ubogi zgłodniały.
Zasil, wesprzyy mnie, panie, czci naywiększey godny:
Klot rzecze, jak szczęśliwy ten biedak, że głodny.

8.

Do Postuma z Marcyalisa.

Wielkieś czynił obietnice,
Kiedyś noc całą wytrząsał szklenice.
Obietnica w poranku nie była uznaną.
Postumie! piy więc i rano.

9.

Naśladowanie z tegoż.

Skorom się tylko dowiedział,
Żeś w oyczystą, Marcinie, zagrodę powrócił;
Ja, com się tyle twoją niebytnością smucił,
Nie długom w domu usiedział.
Abym się twoim widokiem ucieszył,
Bym cię powitał, wkrótcem do ciebie pośpieszył;
Lecz nie zostałem wpuszczony.
Przyszedłem z rana, w południe, wieczorem.
Zawsze mnie nie pod jednym zbywano pozorem.
Już, żeś chory, spoczywasz, już, żeś zatrudniony.

Żebyś mię za natręta płocho nie poczytał,
Dłuższych w tey mierze starań już nie czynię.
Lecz, jeśli nie chcesz, abym cię powitał,
Bądź zdrów Marcinie. *Tenże.*

ODA HORACYUSZA, ZAWIERAJĄCA WRÓŻBĘ O ZBURZENIU TROI.

Pastor cum traheret per freta
navibus. X. 1. O. 15.

Przez morskie tonie, gdy w ideyskiey łodzi,
Kraśną Greczynkę wiezie gość przewrótny,
Nereusz wiatry burzliwe łagodzi,
Aby opiewał Troi wyrok smutny.

»Wieziesz do domu, w chwilę nieszczęśliwą,
Tę, którąć Greki znów odbiorą bitne.
Sprzysięgli zerwać występne ogniwo,
I zburzyć Troi państwo starożytne.

»Ach! jak okropne klęski ją obarczą!
Jak wielkie ludóm przeznaczono znoje!
Już chciwa pomsty, z rydwanem i tarczą,
Pallas gotowa na mordercze boje.

»Daremnie ufny w Wenery obronie,
Będziesz układał i trefił twe włosy;
Albo, zasiadłszy w miękkich niewiast gronie,
Pieszczone z lutni wydobywał głosy.

»Próżno unikać będziesz greckiey broni.
Lotna cię strzała gnozyyska doleci.
Oszczep i rączy Ajax cię dogoni.
Padniesz! i włos twóy kurzawa oszpeci.

»Nie widzisz? oto, zguba twey krainy,
Chytry Ulisses, Nestor długowieczny.
Patrz! jak cię śledzi Teucer z Salaminy,
Jak na cię Stenel naciera waleczny,

»Stenel, co końmi zręcznie rządzić umié.
Da ci się poznać i Meryon śmiały,
Oto Dyomed szuka ciebie w tłumie,
Większy od oyca z dzieł rycerskich chwały,

»Ty przed nim, właśnie, jak jeleń pierzchliwy,
Gdy uyrzy wilka, rzuca pożywienie,
Co tchu uciekać będziesz nieszczęśliwy:
Acz nie to lubey przyrzekłeś Helenie.

»Gniew Achillesa, mnogich klęsk przyczyna,
Przewlecze na czas zgon twóy Ilionie.
Lecz przyydzie smutna w lat kilka godzina,
I pyszna Troja greckim ogniem spłonie.

Tegoż.

Oda tegoż do Deliusza.

Aequam memento rebus in arduis i t. d. X. 2. O. 3.

Gdy cię, móy Deli, nieszczęścia obarczą,
Pomniy stałości uzbroić się tarczą,
I od zbytniego wstrzymay się wesela,
Kiedy ci swoich los względów udziela,

Umrzesz — czy smutek gnębi cię zgryzliwy,
Czy w dni świąteczne, twym bytem szczęśliwy,
Leżąc swobodnie na miękkiey darninie,
Pijesz wesołość w falerneńskiém winie.

Tam, gdzie topole i sosny dorodne,
Łącząc gałęzie robią cienie chłodne;
Gdzie w licznych skrętach biegąc strumyk mały,
Z przyjemnym szmerem leje wód kryształy,

Tam każ, móy Deli, przynieść wina, woni,
I róży, która prędko wdzięk swóy roni.
Póki ci służą lata i majątek,
I póki Parka przędzie życia wątek.

Opuścisz dóm twóy, i gaje cieniste,
I wieś, gdzie Tyber toczy nurty czyste;
Te skarbów stosy, skoro legniesz w grobie,
Łakomy dziedzic zabierze po tobie.

Nic nie pomoże, czy kto z bogactw słynie,
Inacha w swojey umieszcza krainie,
Czyli cierpkiego ubóstwa doznaje;
Każdy podziemne zwiedzić musi kraje.

Wszystkich dosięgnie ów wyrok okrutny,
Wszystkich się w urnie los obraca smutny.
Prędzey czy poźniey, jak koley nastanie,
Z ziemi na wieczne póydziemy wygnanie.

Tenże.

Pożegnanie okolicy.

Żegnam cię, lasku zielony!
Żegnam was, miłe strumienie!
Srogich wyroków zrządzenie,
W dalekie pędzi mię strony.

Żyycie na zawsze szczęśliwie.
Los wasz mnie dużo obchodzi.

Niech wam upały skwarliwe,
Niechay wam zimno nie szkodzi.

Jakże szczęśliwy, jak miły,
Czas w tey przepędzałbym stronie,
Gdyby mi losy zdarzyły,
Żyć, umrzeć, na waszém łonie.

Dyano! co masz nad temi,
Błogą opiekę gajami!
Jeślim twóy ołtarz świeżemi
Codziennie wieńczył kwiatami.

Jeżelim, przy lutni dźwięku,
Opiewał twoje pochwały,
Spraw, aby te, pełne wdzięku,
Znowu mię strony uyrzały.

A jeśli smutne zrządzenie,
Sprzecznem się stanie mey chęci,
Nie znikniecie z méy pamięci,
Wy gaje! i wy strumienie!

Tenże.

Poeta i mucha. (*Bayka*).

Raz w letniey dobie,
Gdy much bez liku;
Jan przy stoliku,
I przy butelce usiadłszy sobie,
Składał wiersz na imieniny,
Pani Podstoliny.
Lecz mu to z wielkim szło trudem,
Właśnie jak Żyd nad talmudem:

Kiwa się, mruczy, i myśli.
To napisze, to przekreśli.
I choć winem wenę wzmaga,
Nic to jednak nie pomaga.
Już był blizkim dzień imienia,
A tu zawsze jak z kamienia.
Nie dziw więc, że w złym był sosie.
W tém jedna mucha, śmielszey natury,
Spuszcza się z góry,
I na poety usiadą nosie.
Jakby piorunem rażony,
Jan wnet się zrywa,
Rzuca się na wszystkie strony,
Wszystkich na pomoc przyzywa.
I na zagładę muchy skazuje.
Wszczyna się bitwa,
Krzyki, gonitwa.
Ile ich tylko w domu się znayduje.
Jak grad padają pod częstemi ciosy,
Wszędzie trupów leżą stosy....
Źle słabym, kiedy mocny się obraża.
Jakąż ta bayka prawdę ma na celu?
Oto, iż nie raz na świecie się zdarza,
Że za jednego pokutuje wielu.

Tenże.